

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

Prawdziwa historia Amerykanina.

— Oho, jak to się ten malec pilnie przypatruje robocie. Co, podoba ci się moje rzemiosło? Jak trochę podrośniesz, wezmę cię chętnie do nauki.

Tak mówił kowal, zajęty przybijaniem podkowy koniowi, do małego chłopaka w ubogim odzieniu, który się przypatrywał z zajęciem jego pracy.

— Dziękuję panu — odpowiedziało dziecko — ale ja wolę być drukarzem.

— Zkądże ci to przyszło do głowy? — zapytał śmiejąc się kowal.

— A bo drukarze robią książki.

Było to w Stanach Zjednoczonych, w Ameryce, Horacy Greeley (Grili) miał lat sześć, gdy tak stanowczo objawił swoje postanowienie wiejskiemu kowalowi; okazywał więc już w tak młodym wieku niepospolitą roztropność i zastanowienie, a nadewszystko nadzwyczajną ochotę do nauki.

Mając lat dziewięć, chłopak przeczytał wszystkie książki, które składały skromną

bibliotekę jego rodziców i chciwie szukał nowych u sąsiadów.

Ojciec jego odbierał raz na tydzień z poczty jakiś tygodnik; dnia tego nasz Horacy od rana wyglądał niespokojnie przybycia listonosza z miasteczka, a zwykle wychodził na pół drogi na jego spotkanie. Odebrawszy z rąk jego szacowny dziennik, zasiadał zaraz w jakim zacisznym ustroju, w polu lub w lasku i odczytywał go od deski

do deski, oglądając przytém z upodobaniem największym każdą szpaltę i rozmyślając nad tém, jakim sposobem te skarby w drukarni się sporządzają.

Rodzice jego byli ubodzy, oboje ciężko pracowali i nie mieli czasu zajmować się wychowaniem chłopca. Ojciec był dzierżawcą na małym kawałku ziemi, który własnymi rękoma uprawiał. Żona dopomagała mu czynnie, przez cały dzień zajęta była różnymi gospodarskimi robotami i w polu i w domu, zaledwie wieczorem mogła porozmawiać trochę z synem i opowiadać mu różne ciekawe przygody pierwszych osadników na ziemi amerykańskiej.

Gdy Horacy skoń-



Horacy Greeley.

czył lat dwanaście, musiał się pożegnać z rodzicami i pójść w świat poszukać sobie sposobu do życia. Był to wówczas chłopak wysoki, szczupły, dosyć niezgrabny i niezbyt obiecującej powierzchowności. Włosy miał jasno-rude, tak twarde i sterzące, że ich nigdy nie mógł gładko uczesać, a ta rozczochrana czupryna wcale mu nie dodawała wdzięku. Ubiór jego był więcej niż skromny: stary filcowy kapelusz, połatany surducik, spodnie krótkie, bo oddawna z nich wyrósł, oto była całkowita garderoba, na jaką zdobyć się mogli rodzice Horacego.

Przybywszy do najbliższego miasta, chłopak rozpytał się o największą drukarnię, zdobył się na odwagę i prosto tam poszedł. Kazał się zaprowadzić do właściciela zakładu i rzekł do niego śmiało, po amerykańsku:

— Czy to pan rozporządzasz wszystkiem w tej drukarni?

— Tak jest — odpowiedział drukarz, spoglądając ze zdziwieniem na chłopaka.

— Chciałbym się dostać na naukę do pana.

— Ale, mój przyjacielu — odrzekł tamten łagodnie — czyż masz potrzebne przygotowanie do tego rzemiosła, które wcale nie jest tak łatwe, jak ci się zdaje. Czy byłeś w jakiej szkole?

— Nie, panie, ale bardzo dużo czytałem i zdaje mi się, że coś trochę umiem.

Ta śmiałość i roztropność podobała się właścicielowi drukarni, zaczął egzaminować chłopaka i jakież było jego zdziwienie, gdy się przekonał, że umiał daleko więcej od wielu rówieśników swoich, najstaranniej wychowanych.

Horacy przyjęty został do tej drukarni, której właściciel nazywał się Bliss, i spędził tam lat kilka, a pracując gorliwie i pilnie, pozyskał sobie szacunek przełożonych i współtowarzyszy.

W tym czasie został członkiem stowarzyszenia, zwanego Towarzystwem narad, gdyż rzemieślnicy należący do niego zgromadzali się wieczorami, dla naradzania nad rozmaitemi ważnymi sprawami, tyjącami się ich stanu i obmyślali różne ulepszenia i zmiany.

Horacy pozyskał sobie na tych zebraniach nie małą sławę trafnością sądu, wielką roztropnością, i niepospolitą wymową. Wszyscy koledzy kochali go i szanowali, uważając go powszechnie za człowieka skończonego, pomimo młodego wieku.

Położenie jego znacznie się teraz polepszyło, nie brakowało mu na niczém, chociaż przywiązany ten syn zawsze połowę zarubku odsyłał rodzicom. Ale pomyślność ta urwała się nagle, Bliss, właściciel drukarni, popadł w długi i zakład swój zwinąć musiał, a nasz Horacy został bez miejsca.

Niezwłocznie udał się do Nowego Yorku i w kil-

ku drukarniach poszukiwał pracy. Ale twarz jego blada i mizerna nie wzbudzała wielkiego zaufania, a nieszczęsna ruda czupryna odstraszała wszystkich od niego. Dnia pewnego biedny chłopiec błąkał się po ulicach miasta, rozmyślając nad smutnem swoim położeniem, gdy pocziwy szewc, z którym się był poznał w jakiejś garkuchni, poradził mu, ażeby się udał do wielkiej drukarni *West*, to jest zachodniej, gdzie właśnie potrzebują robotników. Nazajutrz o piątą godzinie z rana młodzieniec siedział u drzwi tego zakładu.

Gdyby w tej chwili p. Elrath, właściciel tej wspaniałej kamienicy, jeden z najbogatszych wydawców w Nowym Yorku, był przechodził tamtędy i spostrzegł tego chłopca ubogo ubranego, siedzącego pokornie u progu, gdyby był spojrział na twarz jego bladą i znużoną, nigdyby zapewne nie mógł odgadnąć, że kiedyś, w niedalekiej przyszłości, z chlubą nazywać go będzie swoim współpracownikiem.

Gdy robotnicy schodzić się zaczęli, Horacy zwrócił się do dozorca, prosząc o zajęcie, a ten litością zdjęty pozwolił mu pracować przez ten dzień, przekonany że nie można będzie zatrzymać dłużej tego niezgrabnego robotnika. Żeby się go pozbyć czempredzėj, dano mu do składania jakąś książkę drukowaną w kilku językach, do której żaden zecer wziąć się nie miał ochoty. Jakież było zdziwienie powszechne, gdy po złożeniu korekt okazało się, że druk był wykonany z taką biegłością i znajomością rzeczy, jakiej nie posiadał żaden z miejscowych zecerów. Nadzorca spostrzegł, że ma do czynienia z wytrawnym robotnikiem i przyjął go niezwłocznie na stałe do drukarni.

Tak rozpoczął zawód swój w świecie Horacy Greeley. Wytrwałą pracą udało mu się dojść bardzo wysoko, a w lat kilka po przybyciu do Nowego Yorku, został współwłaścicielem jednego z najbogatszych dzienników amerykańskich, *New York Tribune*.

Będąc człowiekiem zamożnym, poświęcił się całkowicie krajowi i stał się jednym z ludzi najbardziej wpływowych, żadna ważniejsza sprawa nie obeszła się bez jego rady.

Jednak do końca życia Horacy Greeley nie odwykł od wielkiej skromności i prostoty, niektórzy nawet zarzut mu z tego czynili, utrzymując, że nie umie się zachowywać stosownie do znakomitego swojego położenia w kraju, inni zaś mienili go dziwakiem z tego powodu.

Nigdy także nie zapominał, jak często w młodości doznawał niedostatku i wiele bardzo świadczył potrzebującym. Dobroczynność jego powszechnie była znana. Jeden z jego znajomych zapytał go

raz, czy wiele zarobił na wydaniu jakiegoś dzieła, które ogromne miało w kraju powodzenie, a gdy Horacy wymienił mu znaczną sumę, zawołał:

— Jakto i masz już to wszystko w kieszeni?

— O, tego nie mówię— odrzekł tamten z uśmiechem — wszystko to jest już po innych kieszeniach.

W r. 1872 znaczna liczba jego wielbicieli podała go na kandydata, gdy wybierano prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie obrano go jednak, gdyż inny współzawodnik miał więcej głosów, wkrótce też potem zacny ten obywatel życie zakończył.

Pogrzeb jego odbył się z wielką okazałością, w całym kraju noszono po nim żałobę, jako po zasłużonym obywatelu. Wszyscy zecerzy amerykańscy złożyli się na pomnik dla niego, uważając to za wielką chlubę, że znakomity ten mąż rozpoczął zawód swój od ich rzemiosła. Pomnik ten odlany został z samych czcionek, dostarczonych przez wszystkie drukarnie.

Horacy Greeley przedstawia najpiękniejszy przykład, do czego dojść może człowiek, gdy miłuje naukę, pracuje wytrwale i gorliwie.

NOWE ABECADŁO.

B, a, ba — b, e, be — b, i, bi —

Nagroda za pracę nie chybi!

Uczyła się dziatwa czytania,

I czego katechizm zabrania,

I kiedy duszyczka szczęśliwa,

I jak się ta ziemia nazywa,

I jacy tu byli królowie —

A wszystko, by rozum mieć w głowie,

By w oczach mieć jaśniej, weselęj,

By w sercu mieszkali anieli.

Bóg dziatki przytulał na łono,

Lecz jeszcze nie wszystko spełniono;

Bo myśląc o własnej potrzebie,

Uczyły się tylko dla siebie.

O! jeszcze nie wielka w tém sztuka,

Nie takie ma cele nauka,

Kto siebie na pierwszym ma względzie,

Ten jeszcze zbawiony nie będzie.

Bo celom najwyższym uchybi.

B, a, ba — b, e, be — b, i, bi!

C, a, ca — c, e, ce — c, i, ci —

Kto ziarno nauki pochwyti,

Niech zaraz tém ziarnkiem wzbogaci

Wioskowe siostrzyczki i braci.

Ich ojciec, co z sochą we dworze,

Nauczyć swych dziatek nie może,

A matka, robotą zajęta,

Zaledwie *Ojcie nasz* pamięta,

A szkoła daleko od wioski,

A szczupły jest grosik ojcowski.

Więc dziatwo! choć iskrę oświaty

Zanieście do ciemnej ich chaty,

Nauczcie wieśniaków czytania,

I czego katechizm zabrania,

I kiedy duszyczka szczęśliwa,

I jak się ta ziemia nazywa,

I jacy tu byli królowie.

Niech każde co umie rozpowie,

A kłębka dojdziecie po nici.

C, a, ca — c, e, ce — c, i, ci!

Pod brzozą cienistą i gruszą

Podzielcie się sercem i duszą;

A gdy im rozjaśni się oczy,

Nauka was z kmiotkiem zjednoczy.

Już wtedy w niebiańskim zachwycie

Na waszę książeczkę spojrzycie,

A widząc raj ziemski otwarty,

Całować będziecie jęj karty,

Bo anioł wam w sercu zagości,

Za wasze zasługi w ludzkości.

A kiedy ziemca rodzona

Was wszystkich powoła do grona,

Czyż dusza nie będzie ci rada,

Gdy obok zobaczysz sąsiada?

Gdy blaskiem talentu zaświeci

Wyuczony przez ciebie syn kmieci,

Przypomnisz książeczkę twą młodą,

Siądziecie z braterską swobodą:

D, a, da — d, e, de — d, o, do!

Władysław Syrokoma.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez **M.a.**

(Dalszy ciąg).

Pocziwy Rzeszowski przestał mówić łzami zalany. Wojewoda twarz ukrył w dłoniach, wsparty na bocznej krzesła poręczy. Wojewodzina powstała i rzekłszy drgającym, acz mocnym głosem:

— Panie Rzeszowski!... panie a bracie! pamiętajże waszmość, jako sam i rodzina waszmości

z rodem naszym odtąd krewną jest, póki go stanie! jak już wojewoda wyrzekł!... — Schroniła się znowu do komnaty dziada. Gdy wojewoda oczy odsłonił i spojrzwał w około, Marka już także w komnacie nie było; puciołowaty Jan, o pięć ćwierci roku tylko młodszy od brata, ale wydający na pozór, jakby daleko większa była między nimi różnica, strugał sobie kawałek drzewa przy kominie, na którym i tu kłoda płonęła.

— Co tam robisz, Janie! — ostro nań krzyknął wojewoda, przykro dotknięty dziecinną obojętnością młodszego syna na straszny, i ogółu dotyczący cios, jaki dotknął rodzinę.

— Szablę na Kantemira! — rezolutnie odpowiedział dzieciak.

— Przypomnij mi, jak do Złoczowa pojedziemy, a dam ci prawdziwą, dziecinną moją najpierwszą za to, iżś pierwszy raz pokazał tą odpowiedzią serce i rozeznanie. — rzekł ojciec. Jan przystąpił poważnie, bo ciężkie paradne ubranie nie usposabiało do biegania, i popatrzwszy mu w oczy, jakby pytał o pozwolenie tej wielkiej poufałości, jakiej zapragnął z uciechy, ucałował kilkakrotnie podaną sobie rękę ojca. Szabelka dziecinna ojcowiska, maleńka wprawdzie, ale przecież prawdziwa szabelka, zawieszona jeszcze ręką matki pana wojewody między inną bronią w zamku Złoczowskim, była oddawna celem tajemnych życzeń i gorących westchnień małego Jana, bo Marek, któremuby się z prawa należała, był zawsze zaopatrywany w najlepsze szabelki wuja, starosty Korsuńskiego. O Jana, istotnie dziecinnego bardzo, mniej pod tym względem dbano, tylko martwiło rodziców tępe jego spraw ważniejszych pojmanie. I dla tego też ucieszyło ojca zajęcie się Jana Kantemirem, po wysłuchaniu strasznej pana Rzeszowskiego relacji o tym wuju, który przecież i Jana serdecznie kochał, lecz się z nim obchodził jak z małym dzieckiem.

Tymczasem Marek cały drżący, wyszedłszy z komnaty po wyjściu z niej matki, co i jego już do ruszenia się z miejsca upoważniało, ukląkł tuż za drzwiami we wstępnej izbie, i uroczyście przysięgę w obec matki uczynioną niebu powtarzał. Po chwili ukrył twarz w dłoniach i zamyślił się nad czemś głęboko; dopiero na odgłos kroków w sieniach zerwał się, i wszedł przez długie kręte zakamarki w sien ciemną, kagankiem tylko u sklepień słabo oświetloną. Stał chwilę samotny, przyzwyczajając do ciemności wzrok, do mocnego kominowego światła w komnatach przywykły; aż gdy już dobrze mógł odróżnić ciemne i coraz ciemniejsze ku górze wiodące schody, poszedł ku nim i począł wspinać się po nich powoli. Marek szedł na wieżę; nie na tę główną przecież, z której niedawno

na Olesk spoglądał, ale na drugą, nad mniej zamieszkałą częścią zamku wzniesioną. W tej części były sale wielkie, do licznych przyjęć na festyny i uroczystości przeznaczone; były też komnaty gościnne. Nie dawniej też jak dzisiaj sale te wypełnione były tłumami gości, z blizka i zdaleka przybyłych, aby cześć należną prochom Daniłowicza oddać, i współczucie jego rodzinie okazać; tu też odbyła się wielka uczta stypowa, na ten raz stypowa, to jest pogrzebna w istocie, bo ciężką chmurą głębokiego smutku przysłonięta, co nie zawsze ze zwykłemi stypowemi ucztami się zdarza. To też kierowani prostym a serdecznym uczuciem goście, nawet najdalsi, rozjechali się natychmiast po skończonych smutnych obrzędach, pozostawiając żalobą okrytą rodzinę z jej boleścią i z Bogiem: jedynym znośnym świadkiem prawdziwej boleści.

Wielka, straszna prawie cisza zapanowała więc znów w tej odludnej stronie ogromnego gmachu. Stara służba Żółkiewskich i Daniłowiczów, utrudzona przyjęciem i obchodem dnia tego, znękana żalem serdecznym za ukochanym paniczem, spłakana nad grobem drugiego, gasnącego w ciągu lat kilkunastu, rodu swych panów, skupiła się w wielkiej sieni przy ognisku, tuż pod bokiem nowych panów, rozpamiętywając okoliczności zaszłego nieszczęścia, jak strapieni państwo rozpamiętywali je niedaleko, o parę komnat, we wstępnej do sypialni Żółkiewskich komnatce. Marek umyślnie sion tę pełną ludzi ominął, idąc zakamarkami, i sam jeden, niepostrzeżony od nikogo, dostał się na schody mniejszej, nie mniej przeto wysokości wieży, w oddalonej części zamku. Jeden tylko kaganiec, jak już powiedziano, ten, który zawsze się tam palił u stropu sieni, oblewał niepewnym światłem tę sien, a raczej po dzisiejszemu korytarz, i najniższe schody wieży: wyżej, tam gdzie Marek wspinał się teraz, było już ciemno zupełnie. To też po niejakić chwili przykrego wstępowania po schodach, o nazbyt szerokich na jego nogi odstępach, zatrzymał się zdyszany ruchem i wzruszeniem chłopiec, stanął, i obejrzał się na okół: pod nim blade, drżący krąg światła oblewał jeszcze niższe schody wieży, nad nim już tylko ciemność panowała nieprzejrzana. Wedle domowego zwykłego porządku i tu powinien był płonąć kaganiec, ale smutna uroczystość dnia tego pozawracała wszystkim głowy, więc zapomniano o zwykłych porządkach.

Trzeba też wiedzieć, że ta część zamku była jeszcze, oprócz swjej niemieszkalności, umyślnie unikana przez służbę, a nawet i przez domowników wyższej kondycyi, a to z powodu przeróżnych bajek, wieści i tradycyj, które się po owych pustych obszarach, grubemi objętych murami, począwszy

od głębi lochów i podziemi, aż do szczytu wieży błąkały. W przysieniach, kredensach, garderobach i stajniach, opowiadano sobie po cichu, że w owych podziemiach rok rocznie w nocy z dnia 24 Września na 25-y słyszeć się dawały jęki okrutne i błagania o przebaczenie za zdradę... a kto jeno miałby odwagę, aby cokolwiek głębiej w owe podziemia zajść i cicho stojąc słuchać, ten przekonałby się, że to w rocznicę Cécorskiej haniebnej od boku hetmana Żółkiewskiego ucieczki, uciekańcy, który bez wszelkiego powodu, jedynie z nieszczęsnego ducha sporności, zgubili hetmana z wiernymi jego i siebie samych, jęczą teraz w podziemiach, jakby tonąc w Prucie i od tatarskich szabel wycinani, a hetmana o przebaczenie błagają. To się w podziemiach działo, a raczej działało, wedle zabobonnych, niczem niestwierdzonych gawęd ludu, który wiedziony poczuciem sprawiedliwości, nie mogąc inaczej, takimi gawędami i sądami przynajmniej objawiał uczucia swoje w obec państwowych wypadków. Z takiegoż samego zapewne źródła powstała wśród służby gawęda o wiekowej pani w zamkowym podziemiu, jak zwykle małżonki walczących za kraj mężów pod ich niebytność się ubierały, która chodząc zwolna co północ po pustych komnatach i wyciągniętą dłoń wznosząc przed siebie, mówiła: *Vae genti insurgenti!*...

Wyżej znów, właśnie z wązkiego okna sypialnej hetmana komnaty, miano przed każdym domowym nieszczęściem widywać na niebie nocą niezwykłą jasność, tę samą, która ukazała się krótko przed hetmana na ostatnią wyprawę wyjazdem: przestraszeni domownicy mniemali wówczas widzieć jakieś potykające się wojska na niebie, i biegli budzić hetmana, a on zaraz rzekł: „Na moje to głowę!... „i wejrząwszy w niebo, przypomniał sobie starą wrózkę ze Swinczy pod Rzeszowem, która mu w młodych latach przepowiedziała wszystkie dalszego życia koleje, i chwalebna śmierć za ojczyznę...

Takie bajki, snując się między służbą, odstraszały ją od mniej zamieszkałej zamku połowy, zaś co do wieży, nad nią panującej, ta już nie skutkiem wymarzonych w długie zimowe wieczory przy ognisku dziwów, lecz rzeczywiście, jawnie i dotykalnie, była postrachem domowników i służby, tak, że za ledwo drząc, w biały dzień, ośmielano się czasem na schody tej wieży wstępować, za wyraźnym i surowym panów rozkazem, a to z powodu dziwnych, niepojętych dla ogółu istoty, zamieszkującej od niepamiętnych czasów szczytową izdebkę wieży owej. Urzędownie i jawnie mógł się każdy ciekawy z ust samych panów Żółki dowiedzieć, że na

szczycie owej wieży było wraz z powstaniem zamku samego urządzone obserwatoryum, a tuż pod niem laboratorium, kędy przemieszkował naukom hermetycznym, alchemii i astrologii oddany stary Justus, nauczyciel młodości samego jeszcze Stanisława Żółkiewskiego, wojewody ruskiego, ojca kanclerza i hetmana. Jeżeli tak było, to Justus musiał być już dzisiaj niepomiernie, niesłychanie starym; a młodość jego musiała właśnie przypaść na czas najmocniejszego w Europie zajęcia się naukami tajemniczymi, temi, w które to Zygmunt III mocno się zagłębiał, a słynny Sędziwój jeszcze głębiej życie swe w nie uplątał. Jak bądź tam było, to pewna jednakże, że ani sam pan hetman i kanclerz, ani jego syn Jan, a następnie wnuk, Daniłowicz Stanisław, nigdy nie mieli czasu zajmować się ową żyjącą na szczycie wieżycy zagadką, bo tém był stary Justus dla służby, a nawet i okolicznych mieszkańców. Panowie zamku od czasu do czasu surowo przykazywali marszałkowi dworu swego, aby pamiętał o wszelkich potrzebach mieszkanego na wieży sługi i przyjaciela domu, niekiedy odwiedzali go nawet, w nadzwyczajnej jakiejś domowej czy też ogólniejszej jeszcze okoliczności, jakby chcąc go o ważnych domowych czy też krajowych wypadkach zawiadomić, ale na tém kończyły się wszelkie panów zamku ze starym Justusem stosunki. Marszałek dworu, starzec także, regularnie co tydzień, jak miał rozkazane, asystował osobiście o naznaczonej godzinie dostawieniu kilku bochenków chleba i kilka butelek miodu na szczyt wieży do pustego maleńkiego przysionka. Tam marszałka i chłopca, niosącego koszyk, zalaływało niewypowiedziane dziwne dymne woń z zamkniętego laboratorium, i dobiegały ich słowa dyszącym, słabym a niecierpliwym głosem wyrzuczone: — Proszę odejść! — I marszałek wraz z chłopcem odchodzili, nic nie obaczywszy. Czasem, bardzo rzadko, zastawali tylko w przysionku na jednym tam stole leżącą kartkę, z wypisaną na niej nazwą czegoś potrzebnego Justusowi, a wtedy z kartką tą jeździło się nieraz bardzo daleko, byle mieszkańcowi wieży potrzebnej mu rzeczy dostarczyć, a ta okazywała się zawsze jakąś chemiczną ingrediencją. We wszystkiém tém nie było naprawdę nic dziwnego, bo znaczyło to tylko, że uczonego astrolog, jakich wówczas nie brakło, chciał spokojnie swoim naukom się oddawać, a panowie szanowali starego dziadowskiego rezydenta, jak z wielu innymi mniej uczonymi czynili: Tajemniczość przecież jego i odsunięcie od ludzi, i czerwone płomienie, buchające z okna jego laboratorium, były przyczyną dziwów, które na karb jego rozpowiadano, tworząc je sobie z lada czego, i wytwarzając z własnych gawęd ów strach paniczny, któ-

ry całą ludność zamkową oddalał od bezludnej części zamku i od panującej nad nią wieży.

W takich okolicznościach nie można się zatem dziwić, że młody Marek, idąc ku owej wieży, ominął starannie się główną, pełną służby, bo przywiązana ta służba możeby mu była po prostu iść tam gdzie szedł nie pozwoliła, zwłaszcza dziś, kiedy tak świeżo i głęboko czuła, że on jest spadkobiercą sławy i obowiązków trzech rodów. Nie można się także dziwić, że Marek namyślał się długo klęcząc, po wysłuchaniu relacji Rzeszowskiego, nad pytaniem, czy iść mu na wieżę potrzeba? Nie jeden daleko starszy od niego człowiek może nieodważyłby się na to, zwłaszcza o późnej nocy, i w danych okolicznościach, i sam Marek nie odważyłby się także, gdyby... gdyby nie był wychowawcą wuja Daniłowicza, i nie miał koniecznej do odwiedzenia Justusa przyczyny. Tak jak było jednakże, postanowił Marek na wieżę iść, i poszedł.

Krótko odpocząwszy na niższej części schodów, poszedł wyżej w zupełnej już prawie, mimo wązkich, i rzadkich okien wieżowych, ciemności. Serce mocno mu biło. Kierował się tylko omackiem i wspomnieniami, bo chociaż u Justusa nigdy nie był, to jednak w chłopięcej ciekawości towarzyszył już aż pod same drzwi laboratorium wujowi Stanisławowi, gdy ten w zeszłym roku na wojnę idąc, nie wiedząc czemu Justusa odwiedził. Wspomnienie tej wspólnej po tych schodach z wujem wędrówki przyczyniło się także do wzruszenia Marka, ale i odwagi dodawało mu zarazem, bo chłopcu zdawało się nieraz, że wuj ukochany postępuje tuż przed nim. Tak szedł zwolna aż do drzwiczek małych na szczycie, których położenie dobrze pamiętał; popchnął je z lekka i znalazł się w maleńkim owym przysionku, gdzie marszałek z chłopcem kredensowym żywność zostawiali. Przez większe od innych okno wpadło tu blade światło księżycy, otoczonego gwiazd orszakiem na ciemnym tle niebios. Marek spojrział w to niebo, potem na drzwi laboratorium, przycisnął ręką mocno bijące serce, i zwolna, lekko, po trzykroć we drzwi zapukał.

— Kto?... — ozwało się jednosylabowe, słabym a niecierpliwym głosem rzucone pytanie. Zamiast odpowiedzi, Marek roztworzył drzwi powoli, oblanym mocnym z laboratorium światłem, stojąc w nim, odpowiedział na zadane mu jednosylabowe pytanie dwoma, wyrzeczonymi głuchym głosem wyrazami:

— Nowy dziedzic!...

— Co! już?! już piąty! — zakrzyknął chrapliwym a zawsze słabym głosem mieszkaniec wieży — i wyciągnąwszy rękę z krzesła, na którym siedział, chwycił z półki pobliskiej sporą czarną tablicę, po-

kreśloną białymi liniami, wśród których wyraźnie widzieć się dawały gwiazdy i księżyc. Starzec popatrzał na tę tablicę, popatrzał na niebo, szeroko widne przez wielkie okno — i załamał ręce... czarna tablica wypadła z nich na ziemię, roztrzaskując się w kawałki. — Ha! tak, już się stało... jakże prędko bieży czas!... — szeptał starzec, a po chwili, podnosząc głowę i wyciągając rękę do Marka, rzekł:

— Panie mój! piąty dziedzicu nieszczęścia, witam cię! wejdz.

Marek wszedł, zamykając drzwi za sobą i usiadł na skórą obitą krzesła, jedynym tutaj a stojącym naprzeciw starca.

— Tak, przed sześciu miesiącami on tu siedział tak samo — rzekł Justus.

Marek usiadł był prawie mimowiednie, bo jak bądź silny, zmęczył się jednak wstępowaniem na schody, a wzruszenie oddech mu tamowało. Na słowa Justusa drgnął cały i zapytał:

— Zkąd wiecie, co mi przemknęło się przez myśl w tej chwili?

— Czuję — krótko odpowiedział tamten, i zaczerwienionymi oczyma bacznie, długo jał wpatrywać się w młodego dziedzica. Nagle wyciągnął znów ręce ku półce z księgami i chwyciwszy z niej czarną tabliczkę taką, jak owa rozbita, począł, patrząc na niebo i na Marka, kreślić na niej białą kredą linie jakieś i gwiazdy, cały zagłębiony w tej robocie. Jednym pociągnięciem za jakiś sznur odsłonił widok na niebo przez drugie, przeciwległe, dotąd zasłonięte okno, i zagłębił się znów w swojej robocie.

Marek zanadto był oświecony, aby rzeczy tych nie rozumiał pomimo swjej młodości, bo wychowany też był nie tylko między oświeconymi, ale nawet między gruntownie uczonymi ludźmi, jak niewiele dzisiaj się znajdzie. Wiedział też dobrze, że Justus nie był żadną istotą dziwną ani tajemniczą; rozumiał także, co jest alchemia, astrologia; i poznał od razu, że Justusa robota obecna miała za cel z położenia gwiazd, na zasadach astrologii, losy młodego dziedzica wyczytać. Marek, synowiec Stanisława, prawnuk uczonego, nie tylko dzielnego hetmana, nie bardzo nawet w astrologią wierzył, a z drugiej strony syn pobożnej Teofli i prawnuk Reginy Żółkiewskiej, miałby sobie za grzech chcieć wyczytać to, co Bóg przed oczyma człowieka zakrył. Rozumiał to wszystko Marek doskonale, bo nieraz o starym uczonym Justusie z wujem i matką rozmawiał. Siedział jednakże teraz spokojnie, nie przeszkadzając starcowi w robocie i tylko czekając, aż ją skończy, rozpatrywał się ciekawie po izdebce, którą znał dobrze z opowieści wuja. Nie było tam nic nadzwyczajnego, zwłaszcza dla ko-

goś, kto już owocne laboratoria widział. Kilka całkowitych kościotrupów ludzkich i zwierzęcych; kilka poczwara jakichś w szklanych naczyniach, zalanych jakimś płynem; spory wąż żywy nieruchomy, zwinięty na jednym z kościotrupów, olbrzymia księga zamknięta, leżąca na pulpicie, mnóstwo naczyń szklanych i metalowych różnej wielkości i dziwacznych kształtów; tygle, cęgi, miseczki, zwoje pergaminów, stopy ksiąg, leżało to wszystko i stało naokół w pozornym nieładzie, porozrzucane niby, a jednak Justus, starzec wąły i chudy, jak szkielec żółtą zmarszczoną skórą pokryty, z zaczerwienionymi ale palającymi oczyma, mógł być z pewnością nawet zamrużywszy te oczy trafić tu do każdego z potrzebnych mu przedmiotów. Marek nie zląkł się ani węża, ani kościotrupów, bo wiedział, że je tu zastanie, ale teraz zadrżał, gdy Justus nagle z nad swój tabliczki głowę podnosząc, rzekł słabym ale gwałtownie drgającym głosem, jakby go coś wewnątrz szarpało:

— Możesz nie przyjąć dziedzictwa twego!

— Już przysiągłem matce, że je przyjmuję — odpowiedział Marek.

Starzec spuścił głowę. Patrzył jeszcze chwilę na swą pokreśloną tabliczkę, potem wziął ją z pulpitu w ręce, chcąc podać Markowi, spojrzał na młodego dziedzica niepewnym jakimś wzrokiem, jakby zafrasowany, i znowu chcąc mówić otworzył usta, które trząść mu się zaczęły, ale żaden głos z nich nie wyszedł. Ktoś starszy i doświadczeńszy od Marka byłby może w tych wszystkich oznakach dopatrywał jakiegoś wzruszenia, choć go pergaminowa niby albo i kamienna twarz Justusa wcale nie wydawała. Ale Marek za młody był, i zανάto sam wzruszony, aby mógł spostrzeżenia czynić; on zrozumiał tylko, że Justus chce mu coś o losach jego w gwiazdach wyczytanych powiedzieć, więc pobożnie wychowany chłopiec usunął z przed się podaną mu tabliczkę, mówiąc:

— Nie ciekawym tego, mości Justusie, nie po to do was przychodzę.

— Po cóż więc? — zapytał starzec z pełnym ulgi westchnieniem, i położył tabliczkę swą na półce, szepcząc sam do siebie wyschłymi ustami:

— Tak, tak lepiej... co ma być zakryte przed zwykłego śmiertelnika okiem, niech będzie!... — i znowu patrzył badawczo w prawnuka swoich panów, aż w palającym tajemniczym ogniu oku starca, odwykłym od łez zwyczajnych, zaśniła krwawa kropla. I znowu rzekł Justus:

— Pocóż więc przychodzisz, o dziecko, dzie-dzicu! po co odrywasz mię od pracy, na którą co chwila mniej sił pozostaje nędznemu ciału memu... czyliby stało się nareszcie to, czego jedynie jeszcze pragnę, oprócz spełnienia wielkiego dzieła?... czy-

liby pan mój i dziedzic nieszczęścia wyrwał się z zaklętego koła, w którym ród wasz krąży po ziemi, a zwrócił się ku niebu gwiazdzistemu, ku rozkoszom nauk niepojętych dla tłumu, czyżbyś przyszedł do mnie, aby wspólnie ze mną pracować nad wielkim dziełem?! Ha! pójdź! pójdź, o synu! młody twój duch wesprze starość moją, doświadczenie moje poprowadzi twą młodość! we dwóch dokonamy wielkiego dzieła, a ty ocalejesz! patrz, patrz, tam na niebo i tu na tablicę: oto jest Mars, Mars, który staje w poprzek dróg twojej gwiazdy tak samo, jak stał przeciw gwieździe wuja twego! grozi tobie tak samo, jak jemu, w kwiecie młodości. Mars to duch wojny, to szabli szcęk upostaciowany na niebie, odrzuć na zawsze od boku tę szablę, złam ją! zostań tu ze mną wśród ksiąg, pod niebem, pomóż mi wydrzeć wielką tajemnicę naturze i udarować nią ludzi, a przysięgam ci, ja, Justus, że Mars przestanie ci grozić i ród moich panów zakwitnie na nowo potężny! Zostań ze mną!

— Nie mogę, starcze! — rzekł Marek — już ci powiedziałem, że przyjąłem dziedzictwo moje, że przysiągłem obronę krzyża i ziemi mojej!

Justus, który poprzednio unosząc się i upajając własnymi słowami, mówił coraz silniejszym głosem i prostować się zdawał pociętą swą postać, teraz nagle ugiął się i zeszedł niby na nowo, i uderzając słabą, suchą pięścią w tablicę w bezsilnym gniewie, krzyknął znów zwykłym swym, a niecierpliwym głosem, wpół płaczkliwie, wpół ze złością:

— To zginiesz! zginiesz marnie, jak tamci, a po tobie zginie twój brat! i zgaśnie ród panów moich tak, jak zgaśnie wraz z moją życiem to światło, które już dotąd w wielkiej sprawie zdobyłem!

— Może i zginę, ale że nie marnie, za to ci ręczę, starcze — odrzekł Marek. — Ale proszę cię, jeżeli możesz, daruj mi jeszcze parę chwil czasu twego, i posłuchaj, po co do ciebie przychodzę.

Justus, który już odwrócił się z gniewem od swego gościa do ksiąg i tyglów, teraz spojrzał na Marka i mruknawszy sam do siebie:

— Tak, to krew moich panów... muszę słuchać — rzekł znowu — słucham.

Marek mówił:

— Wiem, że każdemu z nowych dziedziców tak samo, jak mnie, dajesz do wyboru życie pełne trosk i pracy, śmierć, której czas przepowiadasz, i wygaśnięcie rodu, albo wyrzeczenie się obowiązków wiernego wyznawcy krzyża i syna tej ziemi, zagłębienie się wraz z tobą w twoich tajemniczych naukach.

— Nie ja daję to wam do wyboru! — łamiąc suche ręce zawołał Justus — nie ja! to przeznaczenie! tak stoi napisano w gwiazdach! Ja, gdyby to

was ocaliło, chętnie oddałbym własne życie moje, to życie, na którym jak na włosku uczepiona jest nadzieja odkrycia Wielkiej Tajemnicy!

— Tajemnicy wytwarzania złota? — spytał Marek.

— Tajemnicy wiecznego życia! Tajemnicy odmłodzenia zestarzałego ciała! — zawołał starzec, z płonącymi oczyma — wszak musisz wiedzieć, że to, czego szukam, co może dziś znaleźć, posiada razem obie te własności!

— Otóż powiem ci — rzekł Marek — że ja już z łaski matki i ojca tajemnicę tę podwójną odkryłem: życie wieczne jest w Bogu i w pocziwój wśród rodaków sławie, a złota dostarczy mi w złocistych pszenicznych snopach ziemia moja. Tak mię nauczylłi rodzice. Oni też nauczylłi mię, że losami ludzi rządzi nie jakieś tam przeznaczenie, lecz Bóg, który jest sprawiedliwym. I otoż to ja dla tego do ciebie przychodzę. Ręka Pańska cięży okrutnie nad rodem moim, ale to bez sprawiedliwej przyczyny być nie może; tyś piastun redu mego, ty sam dopięro nazwałeś mię dziedzicem nieszczęścia, ty przepowiedziałeś każdemu z przodmoich ich przyszłość i zgon, podobno samemu hetmanowi jeszcze, nie żadna wróżka ze Świnczy, ale ty losy przepowiedziałeś. Ja wiem, żeś ty nie czarownik żaden, lecz mędrzec ze Wschodu, w niewolę przez pradziada mego wzięty i serdecznie doń przywiązany. Więc ty musisz i przyczynę nieszczęść naszych wiedzieć, piastunie rodu naszego! Powiedźże mi ją, abym wiedząc złego przyczynę, mógł to złe zwalczyć przy pomocy Bożej. Oto po co do ciebie przychodzę: mów, za co ociężała nad nami ręka Pańska?!

(D. c. n.).

LISTY Z WARSZAWY.

Wyprawa polskich podróżników do Afryki środkowej. — Obrazy Jana Matejki na wystawie. — Bitwa pod Grünwaldem. — Stańczyk. — Chrzest Warneńczyka. — Rzeczpospolita Babińska.

Już i upłynął karnawał, post się rozpoczął i wiosna za pasem. Nie myśl jednak, siostrzyczko że ja ci w tym miesiącu będę opowiadał dzieje warszawskiego karnawału; nie jestem tak płochy i znajdę poważniejszy przedmiot do rozmowy. A najpierw muszę ci wspomnieć o odczycie pana Stefana Szolca Rogozińskiego. Wyobraź sobie, że ten pan wybiera się do Afryki i to do takiej części Afryki, gdzie jeszcze nigdy noga Europejczyka nie postąpiła, gdzie na atlasach rozciąga się wielkie miejsce białe, zupełnie próżne, bo nikt nie wie, co się tam

dzieje. Rozłóż przed sobą mapę Afryki, a obaczysz je tuż nad równikiem, na zachodzie. Pan Rogoziński utrzymuje, że tam są wielkie jeziora, podobne do tych, jakie odkryto w wschodniej części Afryki i które już są teraz oznaczone w atlasach. Nieraz też dochodziły do podróżników głuche wieści o tych jeziorach, krajowcy nadają im nazwę *Liba*. Otóż pan Rogoziński, prawdziwie nieustraszony podróżnik, zamierza się tam wybrać niezadługo i odkryć te tajemnicze jeziora. Na tę wyprawę poświęca on cały swój majątek, naraża zdrowie i życie. Znalazł też dzielnych towarzyszy, którzy z nim dzielić chcą trudy i niebezpieczeństwa. Byłem na odczycie pana Rogozińskiego, a potem go przeczytałem w Słowie, dzienniku warszawskim, gdzie był w całości drukowany i z wielką niecierpliwością wyglądać będę wiadomości o naszych polskich podróżnikach, gdy już zapuszczą się w te nieznanne okolice. Cóżby to była za radość i chluba, gdyby im się ta wyprawa szczęśliwie powiodła, gdyby im się udało naprawdę odkryć wielkie jeziora zachodnie, a w pobliżu ich żyzne, bogate ziemie. Byle tylko nie napotkali po drodze jakich okropnych ludożerców, lwów żarłocznych, lub straszniejszej jeszcze zgniłej gorączki.

W ciągu postu mają być odczyty na dochód Osad rolnych, a jeśli w nich znajdzie się co ciekawego dla nas, to ci donieść nie omieszkam. Tymczasem zwiedziłem wszystkie wystawy obrazów i mam ci wiele o nich do powiedzenia, bo właśnie w tych czasach przybyło do Warszawy kilka obrazów Jana Matejki, dawniejszych i nowszych. Najpierw poszedłem do salonu pana Ungra na Krakowskim Przedmieściu przypatrzeć się raz jeszcze wspaniałej bitwie pod Grünwaldem, chociaż obraz ten widziałem już dawniiej. Jużteż to być nie może, abyś i ty, siostrzyczko, nie miała o nim wyobrażenia, bo któż to nie zasłyszał o arcydziele naszego wielkiego mistrza. Wielka to szkoda, że nie możesz teraz do Warszawy przyjechać i obejrzeć go na własne oczy. Ja, gdybym miał tylko czas po temu, chodziłbym codziennie na wystawę i pewnie za każdą razą odkryłbym nową jakąś piękność w tym obrazie, który jest tak ogromny i tyle mieści postaci, że go żadnym sposobem objąć na raz wzrokiem nie można. Każdy koń, każdy rycerz, mogłby stanowić obraz osobny; wszystko to wygląda, jak żywe. Muszę ci się przyznać, że patrząc na tę wspaniałą bitwę pod Grünwaldem, dziwnie sprzecznych doznawałem uczuć. Widok Witolda, który pędzi na koniu, z wzniesionemi do góry ramionami, z blaskiem tryumfu w oczach, wprawiał więc w zachwycenie, ale gdy się zwrócił po chwili do krzyżackiego mistrza, to mi znów mimowoli żal było, że on tak nędznie ginie z rąk

jakichś ciurów obozowych, bo ten mistrz Matejki jest piękny, na szlachetnego i dzielnego rycerza wygląda. Ale nie będę ci szczegółowo tego wspaniałego obrazu opisywał, bo przypominam sobie, że dawniej już kiedyś miałś o nim obszerniejszą wzmiankę w życiorysie Jana Matejki, zamieszczonym w Wieczorach Rodzinnych. Z salonu pana Ungra przeszedłem znowu na wystawę Towarzy-

dopiero pojąłem głęboką myśl mistrza. Wiesz zapewne, że dawniej na dworach królów, a nawet bogatszych panów, trzymano takich trefnisiów, czyli błaznów, ażeby żartami i dowcipami rozweselali towarzystwo. Byli to zazwyczaj ludzie niezbyt mądrzy, silili się na śmieszne koncepta, ażeby państwu dogodzić. Ale o tym Stańczyku, który żył na dworach trzech królów polskich, Aleksan-



DRZEWA BUTELKOWE (str. 142).

stwa Zachęty sztuk pięknych i tam po raz pierwszy ujrzałem znacznie mniejszy, przesłiczny obraz tegoż samego mistrza Matejki, przedstawiający sławnego trefnisia królewskiego Stańczyka. Byłbym może i nie zrozumiał, co można tak dalece zajmującego znaleźć w tej postaci, ale na szczęście wysłuchałem rozmowy dwóch panów, którzy wraz ze mną przypatrywali się obrazowi i głośno o nim rozprawiali. I ja też spojrzałem uważniej i teraz

dra Jagiellończyka, Zygmunta I-go Starego i Zygmunta Augusta, powiadają historycy ówczesni, że był pochodzenia szlacheckiego, odznaczał się rzeczywistym dowcipem, a nawet i rozumem niepospolitym, żarty zaś jego nie były to wcale jakieś bezmyślne koncepta, gdyż nieraz pod pokrywką śmiesznego dowcipu wypowiadał panom i samemu królowi gorzkie prawdy i nauki im dawał. Łatwo też wyobrazić sobie można, że taki Stańczyk,

śmiejąc się i dowcipkując, gdyż to było jego rzemiosłem, jako trefnisia królewskiego, nieraz w duszy trapił się smutnymi myślami, bo nie wszystko wtenczas dobrze się działo w kraju. I w rzeczy samej Stańczyk Matejki, przybrany w czerwony strój błazeński, siedzi pogrążony w zadumie głębokięj. Na twarzy jego maluje się troska, chociaż tuż obok przez odchylone podwoje widać w komnatach królewskich, rzęsisto oświetlonych, wesołą zabawę, pary przesuwają się w tańcu, mały karzełek unosi ogon u sukni jakiejś strojnęj pani. Przez okno pokoju, gdzie samotnie usiadł trefniś królewski, widać znów na niebie komętę. Wiemy, że w dawnych czasach kometa uważana była za zapowiedź wielkich klęsk i nieszczęść, widok ten zwiększa więc jeszcze smutne przeczucia Stańczyka. Nie będę ci opowiadał, jak to wszystko jest odmalowane, jak cudnie jaskrawy strój trefnisia odbija od ciemnego tła, jakie światło bije z królewskiej komnaty, bo nie jestem znawcą, abym potrafił ocenić to należycie. Mnie tylko idzie o to, bym ci o tém dał jakiegokolwiek wyobrażenie, bo przecież i młodzież powinna znać arcydzieła, które całemu krajowi naszemu chlubę przynoszą.

Nie tracąc czasu poszedłem tegoż samego dnia do hotelu Europejskiego, gdzie urządzona jest trzecia wystawa obrazów, p. Krywulta, bo i tam są także piękne obrazy Matejki. *Chrzest Warneńczyka* przedstawia pochód dworu z dziecięciami; niesie je biskup poznański, który występuje w zastępstwie papieża, trzymającego do chrztu królewskiego syna, a Zbigniew Oleśnicki u drzwi katedry go przyjmuje. Dziecię jest prześlizne, ma duże oczy czarne pełne wyrazu. Wspaniale wyglądają skupieni obok posłowie zagraniczni, poseł niemiecki w zielonej szacie złotem sztytęj, z lwem wyhaftowanym na ramieniu, poseł cesarski i wysłaniec Krzyżaków, w płaszczu białym, odznaczający się przebiegłym wyrazem twarzy i chytrym spojrzeniem. Za biskupem, niosącym małego królewicza, postępuje sławny rycerz Zawisza czarny Sulimczyk i niesie rozwiniętą chorągiew z orłem białym, przy nim zaś dzielny Domrat z mieczem do góry wzniesionym. Dalej idzie król Jagiełło, okazała jego postać góruje nad całym orszakiem; wiedzie on za rękę starszą swoją córkę. Królowa Zofia padła na kolana u stóp schodów, prowadzących do katedry; za nią widzimy księżnę mazowiecką i świetny orszak pań dworskich, a dalej rozpoznać można na wpół dzikiego Litwina, wysłańca księcia Witolda. Twarz jego jak u niedźwiedzia obrośnięta, na głowie ma czapkę futrzaną i dziwnie wygląda wśród postrojonych panów i pań polskich. Tłumy ludu spoglądają z boku na ten pochód wspinały. Gdybyśmy nie znali histo-

ry i nie wiedzieli, jak smutny koniec czeka tę piękną królewską dziecinę, toby ten obraz wesołe tylko budził wrażenia.

Oto nakoniec najnowsze dzieło Matejki, niedawno do Warszawy przywiezione, *Rzeczpospolita Babińska*. Wiesz zapewne, co to była ta sławna rzeczpospolita, ale gdybyś przypadkiem zapomniała, przypomnę ci to w kilku słowach. Pan Pszonka, wesoły i dowcipny szlachcic z czasów króla Zygmunta Augusta posiadał wieś Babin w Lubelskiem. Urządził on sobie stowarzyszenie, które przezwiał rzeczą pospolitą Babińską, gdyż każdy z członków nosił jakiś tytuł i otrzymywał dyplom na urząd. Byli tam, tak samo, jak w prawdziwej Rzeczypospolitej, wojewodowie, hetmani, kasztelani, starostowie itd., ale urzędy nadawane były dla żartu takim właśnie, którzy wcale nie posiadali przymiotów stosownych. I tak: jeżeli ktoś był gadułą, a nie zawsze rozsądnie i poważnie mówił, mianowano go kaznodzieją babińskim, jeśli o sztuce wojennej rozprawiał bez dostatecznej znajomości przedmiotu, obwoływano go hetmanem, takiego, co na polowaniu spudłował kilka razy, mianowano łowczym itd. Nie było w tém jednak żadnej złośliwości, tylko wesołość i dowcip, to też najwyżsi dygnitarze krajowi nie obrażali się, gdy im pan Pszonka nadsyłał dyplomy, wydawane na pergaminie i pieczęciami opatrzone i nie odmawiali ofiarowanych godności w Rzeczypospolitej Babińskiej. Powiadają nawet, że gdy raz pan Pszonka był na dworze królewskim, Zygmunt August zapytał go żartem: — A któż tam u was króluje w Rzeczypospolitej babińskiej? — Najjaśniejszy Panie, odpowiedział pan Pszonka bez najmniejszego zakłopotania, nie odważylibyśmy się nigdy obierać innego Monarchy za życia Waszój królewskiej Mości. — Król rozśmiał się serdecznie i wcale się nie rozgniewał.

A nie zapomnij, że to było w XVI wieku, żyło w tych czasach w Polsce wielu ludzi znakomitych z nauki i talentu. Matejko umiał z tego skorzystać i w obrazie swoim przedstawił grono najslawniejszych mężów, zebrane w pięknym ogrodzie pana Pszonki w Babinie. Po środku stoi sam gospodarz, goście trzymają nad jego głową wieniec ze słoneczników, jako symbol śmiechu i wesołości. Przed nim siedzi na krześle arcybiskup Mikołaj Dzierżogowski, sekretarz, pan Trzecieski, podaje mu pióro, gdyż nawet i dygnitarz kościoła nie wzdraga się dla żartu zapisać się na członka Rzeczypospolitej Babińskiej. Za biskupem stoi pani Pszonkowa z gronem postrojonych pań, a dokoła zebrani liczni goście, pomiedzy którymi znajdują się wszystkie znakomitości ówczesne. Na prawo przy stole siedzi Piotr Firlój kasztelan Lubelski, obok Mikołaj Rej z Nagłowic,

dalej Mikołaj Oleśnicki, Jan Łaski, Lupa Podlowski i wielu innych. Na huśtawce zabawnie się wykręca trefniś Gąska. Po lewej stronie obrazu widzimy znów młodego jeszcze podówczas Jana Kochanowskiego, grającego w szachy z Marcinem Bielskim, obok sławny lutnista Zygmunta I-go Bekwarek wygrywa na lutni. Z przodu prześlicznie umieścił malarz dwoje dzieci. Chłopiec ubrany po polsku, tak samo, jak się nosili dorośli, wywija szabelką, bawiąc się z dużym psem. Obok dziewczynka przysiadła na ziemi i przewraca jakąś księgę pergaminową. Jakim to wielkim trzeba być malarzem, żeby umieć tyle różnych postaci tak pięknie ugrupować, a każdej nadać wyraz twarzy stosowny, a taki ożywiony. Jasna zieloność drzew, obciążonych owocami, stanowi tło tego pięknego obrazu; zdala widnieje pasieka i gołębnik.

Ale muszę już kończyć, bo i tak rozpisałem się dłużej niż zwykle. Nie będę mógł już dzisiaj nic wspomnieć o obrazkach innych malarzy, a są pomiędzy niemi zasługujące także na uwagę; muszę to zostawić na później.

Żegnam cię, kochana siostrzyczko.

Twój przywiązany brat, Kazio

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WSRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Gdybyśmy wszyscy mieli konie, moglibyśmy próbować ucieczki, ale jak tu na czterech wierzchowcach, choćby najdzielniejszych, uratować dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety? Nie upadamy jednak na duchu, chociaż czujemy, że ta nierówna walka długo potrwać nie może. Dzika tłuszcza opasuje nas coraz ciaśniejszemi kołami, cudem tylko unikamy pocisków, które jak grad się na nas syją, własnym ciałem zasłaniaamy kobiety; czas upływa, niebezpieczeństwo wzrasta, przy strasznych blaskach pożaru widzimy je w całej pełni i dzicy widzą także, z jak małą garstką mają do czynienia.

Ognista łuna zwolna przygasać zaczyna, a w sercach naszych słabnie nadzieja i w rękach siła ustaje, lecz postanawiamy walczyć do ostatka i zginąć z bronią w ręku. Odważne dziewczęta chwyciły także kamienne siekierki, gotowe w ostateczności wystąpić do walki. O Boże! mamyż zginąć tak nędznie w tej strasznej puszczy?

Wtém nagle kilkanaście strzałów pada raz po

raz wśród zgrai napastników i popłoch sieje dokoła. To nasi dzielni towarzysze, sir Edward jedzie na czele; biały koń jego z rozwianą grzywą, z rozwartemi nozdrzami, jak strzała pędzi przez błonia. Witamy zbawców naszych okrzykiem radości i tryumfu, wściekłe wrzaski Australczyków nam odpowiadają.

— Koo-moo-hoo-eee! — Hasło to brzmi żałośnie, nie ogłasza zwycięstwa, dzicy uciekają w popłochu, coraz dalej, coraz słabiej odzywają się nawoływania, które echo roznosi daleko po lesie.

Ale sir Edward nie traci czasu; szybkim ruchem porywa siostrę wół i sadza ją przed sobą na koniu.

— Panowie! — woła — niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, kto wie, czy ta krwiożercza zgraja nie powróci za chwilę i nie zagrozi nam znowu, a wówczas niezawodnie pokona nas liczbą. Najsilniejsze konie uniosą z łatwością po dwóch jeźdźców. Żwawo więc na koń wszyscy i umykajmy.

Krwawe odbłyski pożaru migają jeszcze wśród ciemności; tymczasem na wschodzie niebo przybrało odcień jaśniejszy, gwiazdy pobladyły, a w parę chwil wspaniała tarcza słoneczna wypłynęła w całym blasku na szafirowe sklepienie. Pod zwrotnikami niema prawie świtu i zmierzchu.

Dzielne nasze rumaki unoszą nas szybko z tych miejsc, gdzieśmy tak straszne chwile przeżyli, przybawamy wkrótce do obozu, wszyscy jesteśmy zmęczeni, a jednak nikt nie myśli o spoczynku. Doznajemy takiego wrażenia, jak gdybyśmy się przebudzili z okropnego snu. Słońce oświeca wspaniały krajobraz, zdala widnieje las olbrzymich rozdrębów, bliżej znów niższe drzewa, pokryte obfitością kwiatów różnobarwnych; prześliczne papugi przelatują gromadami ponad głowami naszymi, a wszystko to kąpie się w potokach gorącego światła. Mieszkańcy zimnych stref północnych nie mają wyobrażenia o tych nieporównanych blaskach zwrotnikowego słońca.

Zapatrzony w ten widok, zapomniałem o świecie całym, gdy wtém uczułem na ramieniu dłoń jednego z moich towarzyszy. Porucznik Crowley uważa mię za uczonego, chociaż nie jestem tak zarozumiały, abym sobie przyznawał prawo do tak zaszczytnego miana.

— Mój panie uczone — mówił do mnie dobroduszy Anglik — wytłómacz mi proszę teraz, kiedy już mamy czas po temu, dla czego ja tój nocy widziałem wśród ciemności, jak istny kot lub sowa? Czuję, że to po wypiciu tój obrzydłej wody zatrutej, która mnie najprzód oslepiła wśród białego dnia, później znów tak mi się wzrok dziwnie zaostrzył na noc.

— Ależ to rzecz bardzo prosta — odrzekłem

— belladonna i inne psiankowate trucizny posiadają tę własność, że rozszerzają źrenice. A cóż to jest źrenica? to otwór, przez który promienie światła wpadają do głębi oka i utworzywszy tam obraz, za pośrednictwem nerwów ocznych dostają się do mózgu.

— Ja to wszystko po trochę rozumiem.

— Źrenica umie się doskonale zastosować do ilości światła, zwięża się i rozszerza w miarę potrzeby, gdyż nadmiar promieni razi wzrok i zgubnie nań działać może.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale cóż dalej?

— Miejże pan troszkę cierpliwości, zaraz dojdziemy do rzeczy.

— Słucham więc cierpliwie.

— Trucizna rozszerzyła raptownie pańskie źrenice i oczy nie mogły znieść zbytnej ilości światła, musiałeś je pan zamykać, gdyż doznawałeś przykrego uczucia olśnienia. Ale w nocy ta niegodność zamieniła się w korzyść. Źrenica rozszerzona wprowadzała do głębi oka daleko większą ilość promieni niż zwykle i dla tego widziałeś pan wszystko wyraźniej. U kotów źrenica zawsze się znacznie rozszerza w ciemności, a sowy, jak wiadomo, bardzo źle widzą w dzień z powodu zbytnej jej rozszerzenia.

— A to dopiero osobliwość — rzekł Anglik zapalając cygaro — żeby trucizna mogła dać człowiekowi kocie oczy. I kto by to się spodziewał, że ci niegodziwi ludożercy przysporzą mi swoim zbrodniczym zamachem trochę wiadomości naukowych.

— O, mój poruczniku — odrzekłem śmiejąc się — już ja gotów jestem udzielać ci i tak wszelkich wiadomości naukowych, jakie sam posiadam, obejdziemy się bez tak gwałtownego bodźca.

IX.

Następstwa wojny. — Szpital obozowy. — Świeża woda. — Moja umiejętność lekarska. — Siostry Miłosierdzia. — Polowanie. — Dziwotwór roślinny. — Śniadanie myśliwskie.

Miał słusność doktor Stephenson, trudno obrachować, jak długo potrwa podróż w australskiej puszczy. Ostatnie wypadki popsły nam zupełnie szyki. Walka z dzikimi, jakkolwiek zwycięska, nie obeszła się i z naszej strony bez szkód dotkliwych. Nikt wprawdzie nie zginął, ale mamy kilku ranionych, a tu jak na toż w miejscu, gdzieśmy stanęli obozem, jest tylko to jedno źródło za-trute, którego widok stał się dla nas istną męczarnią Tantalą. Niema co, trzeba jechać dalej i szukać wody. Konie są niemniej spragnione i znużone od ludzi; biedne zwierzęta ledwo uciągnąć mogą ciężkie wozy, tęskny wzrok zwracają

do źródła, nie pojmują dla czego zabraniaemy im orzeźwić się napojem, który je tak nęci. Tom znowu utoczył trochę wody z korzeni rozdrębów, ale to nie wystarcza do zaspokojenia tyłu ludzi i koni. Dwóch jeźdźców wyrusza naprzód, a my całą karawaną wlecemy się powoli.

A wtém Mirador zrywa się ze smyczy i z wesołym szczekaniem pomyka naprzód. Ta radość pocziwego pieska zwiastuje nam jakąś dobrą wiadomość. W rzeczy samej po chwili widzimy obłok kurzawy, to nasi jeźdźcy powracają z pośpiechem, na przedzie pędzi Kanadyjczyk i unosząc czapkę w górę, woła w niebogłosy:

— Wiwat! znaleźliśmy wodę, zwracajcie wozy w tę stronę, napijemy się wszyscy do woli.

Jakby zrozumiały te słowa, wierzchowce nasze podnoszą głowy i śpieszniej biedz zaczynają; ale ciężkie wozy nie mogą tak prędko postępować, musimy więc i my jechać noga za nogą, nie chcąc opuszczać naszych ranionych. zaledwo też we trzy godziny docieramy do miejsca, gdzie nasi jeźdźcy zabiegli byli tak prędko. Nikt nie jest ciężko raniony, ale najłżejsze zadrażnienie skóry sprawia ból dotkliwy wśród tego upału.

Widok bystrego strumienia rozwesela wszystkich, Tom jest niestrudzony, on pierwszy podaje wodę do picia kobietom i rannym, potem napawa konie, na ostatku dopiero zas pokaja własne pragnienie. Gdyśmy się wszyscy napili do woli, postanowiłem stwierdzić dobre wyobrażenie, jakie towarzysze mieli o mojej nauce i zabrać się po doktorsku do opatrzenia i pielęgnowania naszych chorych. Niektórzy z nich dość silną mają gorączkę. W dawniejszych czasach nikomu nawet na myśl nie przyszło, że najlepszym lekarstwem na wszelkie zapalenia jest woda; w dzisiejszej medycynie prosty ten środek coraz więcej wchodzi w użycie i zastępuje wiele wyszukanych maści i mikstur.

Zdaje mi się, że potrafię być niezłym chirurgiem. Nie jestem nawet zupełnym samoukiem, gdyż jeden z moich przyjaciół, prawdziwy lekarz, ordynujący w szpitalu, nieraz mi pozwalał być obecnym przy opatrunkach. Pięciu ludzi odniosło ciężkie rany; najpierw porucznik Robarts i Cyryl, potem trzech Anglików z gromadki sir Reeda. Kilku innych lekkie ma tylko zadrażnienia, ci dadzą sobie rady i sami.

Rozłożono niezwłocznie wielki namiot płócienny, potem usłano w nim miękkie, wygodne posłanie z liści, przykrytych grubą wełnianą tkaniną, dla zabezpieczenia chorych od wilgoci. Gdy już wszyscy spokojnie się ułożyli, przystąpiłem do opatrunku. Pewny jestem, że przyjaciel mój lekarz, gdyby tu był obecnym, pochwaliby wszystkie moje rozporządzenia. Przedewszystkióm nie żałuję

wody i przemywam pokilkakrotnie wszystkie rany. Jeden z moich pacjentów ma kość przełamana w ramieniu. Tu niema innej rady, tylko złożyć jaknajdokładniej obie części kości i przewiązać starannie. Drugiemu odłamany koniec włócznie ugrzązł pod pachą i całkowicie się tam schował. Nie łatwa to sprawa wyszukać twarde to ciało wśród mięśni i wyjąć je ostrożnie. Biedak krzyczy przeraźliwie, a mnie pot spływa z czoła, ale szukam wytrwale i dzięki Bogu udało mi się wyciągnąć ostry koniuszeczek drewna. A teraz czém prędzej obwijam ranę płótnem zmaczaném w wodzie, ażeby wpływ krwi zatrzymać,

Trzeci ma straszną ranę na twarzy; jakiś łotr musiał mu rozciąć policzek kamienną siekierką; wielki płat ciała spada mu aż na szyję, wygląda biedak, jak nieboskie stworzenie. Ale na szczęście mam przy sobie na wszelki wypadek apteczkę przenośną, dobrze zaopatrzoną. Na taką ranę jest tylko jeden sposób, trzeba ją zeszyć. Dreszcz was przechodzi, nieprawdaż, na samą myśl o tej bolesnej operacji, wyobraźciez sobie, co się ze mną działo, gdym ją po raz pierwszy w życiu wykonywać musiał. Ale niepodobna były zostawić nieszczęśliwego człowieka w takim stanie. W pudełku mojem są cieniutkie szpileczki i mocna nić jedwabna. Opatrunek tego rodzaju robi się, jak następuje: Szpilka zakłada się w ciało z obu stron rozcięcia od strony zewnętrznej i obie części skóry zbliżają się o ile możności do siebie. Potém nić jedwabną owija się dokoła szpilki w kształt ósemki, ażeby się mocno trzymała. W pewnym odstępie zapina się druga szpilka i przytwierdza tym samym sposobem.

Możecie sobie wyobrazić, jaką straszną ranę miał biedak, którego opatrywałem, kiedy musiałem mu zatknąć jedenaście szpilek w odstępach dwóch centymetrów jedną od drugiej. Po dokonaniu operacji, pacjent mój zupełnie inaczej wygląda, odzyskał nawet zwykły wyraz twarzy, tylko czerwona pręga, nieco obrzękła, przecina mu policzek przez środek.

Z Cyrylem i porucznikiem poszło mi łatwiej daleko; obaj są ranieni w głowę, a skóra na głowie nie jest tak czuła, jak na twarzy. Muszę tylko wystrzyż starannie włosy w tém miejscu; a potém zeszywam rany wyżej opisanym sposobem. Teraz nic nie pozostaje, tylko bez ustanku zwilżać rany świeżą wodą. Mam nadzieję, że wszyscy niezadługo przyjdą do zdrowia przy takiej kuracji.

Radzi nie radzi musimy się tu zatrzymać, bo nie tylko chorzy, ale i zdrowi, a zwłaszcza biedne koniska, potrzebują koniecznie odpoczynku. Służba angielska sir Reeda korzysta z tego, opatruje wozy, uprząż, czyści broń, naprawia nawet własne

odzienie mocno uszkodzone w czasie ostatnich wypadków. Każdy z tych systematycznych Anglików ma przy sobie nici, igły, nawet kawałki tkanin i tak zręcznie przyszywa łatki, jak wprawna szwaczka.

Dzięki Bogu miss Marya i wierna jej służąca są zupełnie zdrowe; orzeźwiwszy się wodą i posiliwszy się nieco zapasami podróznymi, których mamy podostatkiem, obie przespały się porządnie w swojej budzie i wstały tak żwawe i wesołe, jak gdyby nigdy nie doznawały nadzwyczajnych przygód.

— Panie doktorze — rzekła miss Marya, gdyż tytuł ten dawano mi teraz jednogłośnie w obozie, — panie doktorze, w każdym szpitalu są zazwyczaj Siostry Miłosierdzia, pozwól mi pan pełnić ten obowiązek przy sobie. Biedni chorzy potrzebują ustawicznych starań, a nawet i rozrywki w chwilach swobodnych od cierpień.

— Sam miałem pani prosić o to — odrzekłem z rozrzewnieniem — bo nie wątpiłem o tém, że pani rozumiesz dobrze powołanie kobiety. Gdzie tylko jest cierpienie, tam ona znajdować się musi, jak anioł pocieszyciel. Umiejętność lekarza nie wystarcza choremu, potrzebuje on także starań, troskliwości, a nikt lepiej od kobiety nie potrafi tego dopełnić.

Miss Marya natychmiast udała się do namiotu szpitalnego z nieodstępną swoją towarzyszką, którą teraz traktowała raczej jak przyjaciółkę, a nie jak służącą. Dobra Kelly ze wszech miar na to zasługiwała. Mogłem już teraz być zupełnie spokojny o moich chorych, wszystkie moje zlecenia były wykonane jaknajściślej, białe rączki tak lekko i zręcznie zmieniały okłady, przemywały rany, że nigdy w naszym szpitalu nie słyhać było ani jęków, ani westchnień żalonych.

Widząc, że moi pacyenci są w tak dobrych rękach, i że mogłem ich z całem bezpieczeństwem zostawić na czas dłuższy, skinałem na majora i porucznika Crowley, zarzuciłem strzelbę na plecy, dając im do zrozumienia, że wartoby zapolować trochę. Już wszyscy trzej wymykaliśmy się cichaczem z obozu, gdyśmy usłyszeli za sobą donośny głos sir Reeda.

— A to dokąd, moi panowie?

— Po świeżą zwierzynę, szanowny panie, bo nam już wędzone mięso dokuczycyło,

— Przepraszam panów, ale niewolno wychodzić z obozu.

Głos jego brzmiał tak stanowczo, żeśmy się zatrzymali, jak niepyszni.

— Nie obawiaj się, stary przyjacielu — odezwał się major — nic nam się nie stanie, jesteśmy dobrze uzbrojeni.

— Nic z tego, moi panowie, dość już dozna-
liśmy niemiłych przygód, nie tylko dla własnego,
ale i naszego bezpieczeństwa, powinniście być ostro-
żni. Kto wie, czy dzicy nie czyhają gdzie blisko. Nie
chcę was pozbawiać polowania, musicie jednak za-
brać z sobą kilku ludzi. Franciszku — dodał,
zwracając się do Kanadyjczyka — weź z sobą ze
trzech najsilniejszych towarzyszków i nie odstępuj-
cie ani na krok tych panów.

— O, z największą chęcią — odpowiada ol-
brzym wesoło.

Cóż to za rozkoszna była wycieczka! W go-
dzinę niespełna dotarliśmy do pięknego lasu, a był
to istny raj dla takich zapalonych myśliwych, jak
my. Gromady ptaków, o piórach jaskrawych,
przelatywały ponad głowami naszymi, trzepocąc
skrzydłami; i trzody kangurów uganiały pomię-
dzy drzewami, z pośpiechem pakując młodzież
do swoich worków; dalej znów na jezioru igrały
stada czarnych łabędzi. Dawno już nie widzieli-
śmy takiej obfitości zwierzyny. Strzały padały
raz po raz, a żaden nie chybił, Mirador nie mógł
sobie dać rady, jak szalony biegał tu i owdzie, zbier-
ając przeróżne ptactwo.

Musimy w końcu zaprzestać, bo nie zdołamy
unieść wszystkiego; mamy znów zapas zwierzyny
na długo. A teraz przypatrzmy się nieco roślin-
ności. Las składa się po większej części z kol-
czastych akacyj, z niskich krzaków rozmaitego ga-
tunku, Ale cóż to za nowy dziwotwór ukazuje się
przed nami? Czy to drzewo, czy olbrzymie jakieś
warzywo? U góry sterczą zwyczajne konary, ga-
łęzie liśćmi pokryte, a podstawa wcale do pnia nie-
podobna. Rzekłbyś, że drzewo osadzone jest na
jakiejś potwornej butelce, a jednak to musi być
pień tak dziwacznie wydęty. Kanadyjczyk utrzy-
muje, że kora tego drzewa służy krajowcom do
sporządzenia sznurów, a część wewnętrzna pnia
jest krucha i miękka jak rzepa, i w rzeczy samej
jadana bywa, jak jarzyna. Wstyd mi doprawdy,
że nie poznałem od razu tego drzewa. Wszak to
jest *Delabechia* zwana butelkowém drzewem, z ro-
dziny zatwarowatych. Podobną postać mają po-
krewne drzewa brazylijskie, zwane *Chorisia ven-*
trivosa; pękate ich pnie wyglądają zupełnie, jak
beczułki, na których wznoszą się konary i gałęzie.

— Panowie — odzywa się major wesoło — bo-
tanika, zoologia, piękne to są rzeczy; ale człowiek
nie może żyć samą nauką. Torby nasze myśliw-
skie naładowane są zwierzyną, do obozu daleko,
a mnie głód na dobre zaczyna dokuczać. Czy
nie możnaby na prędce sporządzić śniadania?

Wyborny pomysł! wszyscy przyklaskujemy
majorowi i zabieramy się do dzieła. W jednej
chwili rozpalamy ognisko z suchych gałęzi, zawie-

szamy na kijach kilka papug, oskubanych na pręd-
ce i w pół godziny mamy wyborne pieczone.
Skromna to bardzo ucztą w porównaniu do tych
śniadań i podwieczorków, jakimi się raczą myśliwi
w Europie, po zabiciu kilku nędznych kaczek albo
przepiórek. Zamiast szumiącego szampana, aro-
matycznej kawy, mamy tylko czystą wodę ze zdro-
ju. Ale nie darmo to mówią, że głód jest najlepszą
przyprawą. Pieczone nasze, trochę przysmalone
i wcale niewykwintnie podane, smakuje nam le-
piej od wszelkich przysmaków. Co się tyczy wo-
dy, dowiedziona jest rzeczą, że niema zdrowszego
napoju, rozumie się, byle nie była zatruta, tu prze-
cież o to niema obawy, bo dzicy nie mogli przewi-
dzieć, że się tu na śniadanie zatrzymamy.

Posiliwszy się i wypocząwszy, powróciliśmy do
obozu, gdzie sir Reed już się o nas niepokoić za-
czynał. Moi pacjenci przy troskliwych stara-
niach naszych Sióstr Miłosierdzia tak się dobrze
mieli, że pozwoliłem im także zakosztować świeże-
go pieczonego. Z całej sztuki lekarskiej naj-
mnieję mam zaufania do diety, nie zalecałem też
jēj zbyt często moim chorym. Wszyscy mieli wy-
borny apetyt, a podług mnie jest to najlepsza
wskazówka. Zkądże biedacy sił nabiorą, jeśli im
jeść nie damy? Dzięki Bogu wszystko dobrze idzie
i niezadługo zapewne będziemy mogli puścić się
w dalszą drogę.

X

Zwrotnik Koziorożca. — Pustynia piaszczysta. — Nowe kłęski
i niebezpieczeństwa. — Pył zabójczy zagraża nam utratą
wzroku. — Ocalenie. — Cudowne drzewa. — Oaza na pustyni. —
Las zamarty.

— Dwadzieścia trzy stopnie i pół szerokości
geograficznej, sto trzydzieści pięć długości — mó-
wił major, który wziął na siebie oznaczenie poło-
żenia, za pomocą narzędzi astronomicznych —
moi panowie, znajdujemy się obecnie na zwrotniku
Koziorożca.

— Wcale się temu nie dziwię — odrzekł poru-
cznik Crowley — nie dziwiłbym się nawet, kochany
majorze, gdybyś oznajmił, że jesteśmy na równi-
ku, bo mi gorąco szalenie dokucza. Zegarek
mój wskazuje południe, a ponieważ nie odpoczy-
waliśmy od trzeciej z rana, sądzę, że musieliśmy
ujechać dziś siedm lub ośm mil najmniej.

— Niezawodnie — odrzekł major — a teraz
znów do jutra rana tu się zatrzymamy. Od cza-
su tych strasznych naszych przygód, przebyli-
śmy znaczną przestrzeń, o ile sądzę, zbliżamy się
do celu

— I dzięki Bogu teraz już żadnych przeszkód
nie mamy po drodze.

— Powiem prawdę, panie poruczniku — ode-

zwał się Cyryl — że gdybyśmy częścię mieli spotykać po drodze tych niespokojnych tutejszych obywateli, toby człowiekowi odpadła ochota do podróży.

— Zupełnie się z tobą zgadzam, mój drogi — odrzekł Crowley z uśmiechem — nie jestem wcale tchórzem, a jednak dreszcz mię przejmuję, gdy sobie przypomnę tę straszną bitwę. O, lotry, niegodziwcy!

— Ale też ciężko byli ukarani za swoje zachwalstwo — mówił Cyryl — biedni ludziska, trzeba im była porywać się na nas.

— A to dopiero filantrop z naszego Cyryla — rzekł porucznik z uśmiechem — nie pojmuję, jak można się litować nad drapieżnemi zwierzętami.

— Nie wiem ja co to znaczy filantrop, jak mię pan nazywa — odrzekł poczciwy mój brat mleczny — ale to wiem, że nie lubię przelewać krwi ludzkiej, nawet we własnej obronie, bo bliźni jest zawsze bliźnim, choćby był czarny i brzydki, jak ci tutejsi mieszkańcy. Wolałbym trafić do ich przekonania.

Porucznik nie już nie odpowiedział, a ja przypominałem sobie, co przed kilku dniami powiedziała mi miss Marya. Poczciwy prostak Cyryl i wykształcona Angielka zeszli się z sobą zupełnie w poglądach i musiałem przyznać, że mieli słuszną koniecznością, której człowiek cywilizowany unikać powinien o ile może. Przypominając sobie straszne nasze przygody, starałem się przebaczyć naszym napastnikom, gdyż nieszczęśliwi ci, ciemni ludzie, nie wiedzą co czynią.

Minęło znowu dni kilka; według obliczeń sir Reeda już niezadługo dostaniemy się do siedziby plemienia Nga — Ko — Tko. Zbliżając się do celu tej długiej i uciążliwej podróży, czujemy dziwny niepokój. Czy odszukamy wygnańca? czy skarby nagromadzone przez niego dostaną się do rąk jego dzieci? Z gorączkową niecierpliwością jedziemy dalej, nie napotykając po drodze żadnej ludzkiej istoty.

Krajobraz staje się coraz dzikszy, po kamienistej pustyni, po lasach ciernistych, następuje teraz rozległa, niezmiernie płaszczyna, usypana miłym piaskiem, zupełnie jak afrykańska Sahara. Gdzie okiem zajrzeć, nigdzie nie widać najmniejszego pagórka, a piaski, pokrywające równinę, olśniewają białością swoją jednostajną. Widok ten sprawia wrażenie przygnębiające, nawet zwierzęta, konie i psy, smutnie pochylają głowy, jakby przeczuwały, że tu im grozi najstraszniejsza klęska, niedostatek wody.

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek w małym lasku, gdzie szmerze na pół wyschły strumyczek; nie

prędko zapewne obaczmy wodę i drzewa, przed nami rozciąga się przestrzeń ogołocona i dzika. Ale gromadka nasza składa się z ludzi silnych i odważnych, a młode dziewczęta nie przyczynią nam kłopotu; obie dzięki Bogu są zupełnie zdrowe i przygotowane na wszystko. Miss Marya dla miłości ojca z rozkoszą naraża się na niebezpieczeństwa, a poczciwa Kelly jest tak przywiązana do swojej pani, że gotowa z nią iść w ogień i wodę.

— Kochani przyjaciele — rzecze do nas sir Reed — trudy nasze niedługo już potrwają, Szczęśliwe przebycie tylu przygód przekonało nas dostatecznie, że nam nie zbywa na odwadze; najdłuższa i najtrudniejsza część drogi jest już przebyta. Opatrzność, która dotychczas tak jawnie opiekowała się nami, i nadal nas nie opuści. Nie możemy przewidzieć, jakie niespodzianki ukrywa ta puszcza, rozciągająca się przed nami, gdyż nigdy jeszcze nie dotknęła jej stopa Europejczyka; ale pewny jestem, że żaden z was nie zawaha się w tej stanowczej chwili, a więc śmiało naprzód!

— Naprzód! naprzód — wołamy wszyscy. Służba sir Reeda napełnia beczki wodą, opatruje wozy, musimy się porządnie przygotować do tej przeprawy.

Wieczorem dopiero puszczamy się w drogę, upał jednak nie ustaje nawet i po zachodzie słońca, najłżejszy wietrzyk nie odświeża rozpalonego powietrza, z trudnością oddychać możemy. Grunt jest miękki, ruchomy, wozy i konie grzęzną w miłym piasku, pieszo iść niepodobna; posuwamy się bardzo powoli wśród ciemności, spoglądając ku gwiazdom, które cudnie błyszczą i migocą nad głowami naszymi. Powietrze przepełnione jest pyłem, który wciska się do płuc naszych, do oczu i uszu, sprawiając prawdziwą męczarnię. Cała karawana zaczyna kichać, kaszlać, trzeć oczy i nosy ucierać.

(D. c. n).

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

† Paulina z Radziejowskich Krakowowa przeniosła się do wieczności dnia 16 Lutego, przeżywszy lat 69. Zaczynała całe życie swoje poświęcić kształceniu młodzieży. Przez długie lata była przełożoną wzorowej pensji w Warszawie. Odznaczyła się także na polu literackim, pisała wyłącznie prawie dla młodego wieku. Wszystkie jej utwory zalecają się piękną dążnością i niepospolitym talentem. Z dawniejszych jej prac celniejsze są: Wspomnienia wygnanki, Pamiętniki młodej sieroty, Niespodzianka, powiastki dla młodszej dlatwy, Wieczory domowe, Rozmowy matki

z dziećmi i wiele innych. Ś. P. Krakowowa wydawała przez lat kilka czasopismo p. t. *Pierwiosnek*, a następnie *Zorzę* dla młodego wieku

Będąc przełożoną pensyi, zarzuciła zupełnie zawód autorski, nie chcąc się odrywać od ważnych zajęć swojego powołania. Dopiero na parę lat przed śmiercią wzięła znowu pióro do ręki i te późniejsze jej prace prawie wszystkie były drukowane w *Wieczorach Rodzinnych*. Szereg powieści historycznych, znanych dobrze czytelnikom naszym, wydany także w osobnej odbitce, miał być prowadzony dalej w porządku chronologicznym. Śmierć nie dozwoliła autorce wykonać tego przedsięwzięcia.

Cześć pamięci zacnej niewiasty!

WAŻNIEJSZE DATY HISTORYCZNE

Druga połowa X-go wieku.

- R. 962.** Mieczysław I, syn Ziemomysła, prawnuk Piasta, ur. 931 r. zaczyna panować.
- R. 965.** Przyjmuje wiarę chrześcijańską, żeni się z Dąbrówką, córką Bolesława, księcia Czeskiego.
- R. 966.** Zakłada biskupstwo poznańskie, kościoły w Gnieźnie, w Krakowie, w Poznaniu, w Smogrowie, w Kruszwicy, w Płocku i w innych miejscach. W Smogrowie przy kościele zakłada szkołę.
- R. 970.** Zwycięża Wigmana, walecznego księcia saskiego.
- R. 973.** Odwiedza cesarza niemieckiego w Kwe-dlinburgu.
- R. 977.** Dąbrówka, żona Mieczysława, umiera, pozostawiając dwóch synów, Bolesława i Władysława.
- R. 983.** Mieczysław wojuje z Lutykami.
- R. 991.** Oblega i dobywa Brandeburg razem z cesarzem Ottonem.
- R. 992.** Umiera z febry w Poznaniu.

Znakomitsi monarchowie w innych krajach za panowania Mieczysława w Polsce:

Cesarze niemieccy: Otton I. Otton II i Otton III.

Królowie czescy: Bolesław I okrutny i Bolesław II pobożny.

Król węgierski Gejza I.

Książę kijowski Włodzimierz I Wielki.

Król francuzki Hugo Kapet.

Ważniejsze zdarzenia w świecie:

- R. 964.** Otton I zdobywa Włochy i przyłącza do państwa niemieckiego.
- R. 968.** Założenie Kairu w Egipcie.
- R. 991.** Liczby arabskie wprowadzone do Europy przez Maurów.

Łamigłówka zgłoskowa (Stefan A.).

ay	ój	ua	ja	uia	ua	
iaa	a	oe	jeo	ja	juea	ya
a	oę	iaó	ui	uij	yy	ioa
a	ó	iaj	ooe	yaie	ia.	

Dodawszy brakujące spółgłoski, otrzymamy ustęp z poezyi Mickiewicza

Łamigłówka liczbowa (S. P.).

Z piętnastu liter imię i nazwisko historyka polskiego. Przystawiając litery otrzymamy:

- 1, 7, 4. Ciecz gorąca.
- 2, 3, 12, 8, 10. Imię.
- 3, 12, 8. Ryba.
- 4, 3, 9, 12. Futro.
- 5, 2, 14. Zwierzę.
- 12, 5, 2, 8. Kraj.
- 8, 12, 11. Rzeka w Afryce.
- 9, 2, 1, 7. Napój.
- 3, 12, 4, 7. Narzędzie muzyczne.
- 8, 4, 1, 2. Rzeka w Rosyji.
- 9, 10, 3, 12, 8, 2. Roślina.
- 15, 8, 13, 2. Imię.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Sz a r a d y:

Lu — cy — na.

Łamigłówki zgłoskowej:

Mizantrop.
Ino.
Cietrzew.
Kawior.
Indygo.
Egipt.
Wiwat.
Izba.
Capet.
Zambezy.